ROK VI. CHICAGO, dnia 13 go WRZEŚNIA, 1888. **No. 37**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1,50. Przedpłata musi być naprzód opłacana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: } W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 13 września	Aureliusza, Anny i Filipa	Chronisław.
Piątek, 14 września	Podwyż. św. Krzyża	Ziemiomysł bł.
Sobota, 15 wrześni	Nikodema i Waleryana	Budzimił.
Niedziela, 16 września	17-ta po Św. Cypryana i Euf.	Sędzisław.
Poniedziałek, 17 września	Piętna św. Franciszka	Drogosław.
Wtorek, 18 września	MB. Bolesnej	Dobrowit.
Sroda, 19 września	Januarego b. m. i Tow.	Krzepimir.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus !

NA NIEDZIELĘ XVII-tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Mateusza w rozdz. XXII. od w. 35 do końca.

Onego czasu przyszli Faryzeusze do Jezusa, i zapytał Go jeden z nich zakonny doktor, kusząc Go: Nauczycielu, które jest największe przykazanie w zakonie? Rzekł mu Jezus: Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej myśli twojej. Toć jest największe i pierwsze przykazanie, a wtóre podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twego, jak siebie samego. Na tem dwojgu przykazaniu wszystek zakon zawisł i prorocy. A gdy się Faryzeuszowie zebrali, spytał ich Jezus, mówiąc: Co się wam zdaje o Chrystusie, czyj jest syn? Rzekli mu! Dawidów. Rzekł im: Jakoż tedy Dawid w duchu zowie Go Panem, mówiąc: Rzekł Pan Panu Memu, siedź po prawicy Mojej, aż położę nieprzyjacioły twoje podnóżkiem nóg twoich. Jeźli tedy Dawid zowie go Panem, jakoż jest synem jego? A żaden nie mógł mu odpowiedzieć słowa, ani śmiał żaden od onego dnia więcej go pytać.

POKOJ TORUŃSKI.

Napisał Piotr Zbrożek.

WSTĘP.

Opowiem wam o upadku krzyżaków.

Niemcy wzięli krzyż w rękę, a krzyże sukienne poprzyszywali na płaszczach, i rzekli: „My — zakon krzyżacki — rozszerzymy wiarę krzyża, wiarę Chrystusa.“ — Przyszli do Ziemi Pruskiej i uczyli i nawracali. Uczyli, że Niemcy są pierwszym narodem na ziemi, a kto do nich nie należy, powinien wyrzec się nazwiska i rodziny; zostać Niemcem, albo dać się zabić, aby na jego gruncie Niemca osadzić.— Nawracali, mordowali.

Dużo ziemi pruskiej i Polskiej posiedli — najprzód pokorną żebraniną, a potem rozbojem, przy czem krwi polskiej i pruskiej przelali bez miary. Przecież nie mogli wszystkiego zagarnąć, musieli zostawić część Prusom i Polakom. Byli panami pruskimi, a kiedyś, jak gadzina skórę, mieli zrzucić nazwę krzyżaków i przezwać się Prusakami. Wtenczas, kiedy to opowiadanie było życiem i rozwijało się czynami, wtenczas ci Niemcy nazywali się jeszcze krzyżakami albo panami pruskimi, a Prusowie byli narodem słowiańskim, podbitym, ujarzmionym.

Ziemia, pozostała w rękach krajowców, dawała panom przybyszom podatki, znosiła prócz tego zdzierstwa niesłychane. Mlewa dostarczały młyny krzyżackie i niewolno było nikomu mleć sobie samemu, bo tym sposobem byłby się umniejszył dochód Niemców. Zbożem handlowali tylko Niemcy; niewolno było sprzedawać komu innemu tylko im, a oni ustanawiali ceny najniższe.

Biedny naród, gdzie w sprawy tak domowe wdziera się zbrojna ręka najezdcy! Wymieniłem tylko przykłady, ale nadużyć i gwałtów było bez końca; co krok inne, a wymyślniejsze. Gdybym je wszystkie mógł wywołać z przeszłości i postawić przed oczy czytelnika, to ujrzałby on ludzi gorszych niż tygrysy wściekłe, i przyznałby że piekło nie może być okropniejsze.

Naród cierpiał i czekał, czy Bóg się zmiłuje, czy ześle na wrogów deszcz siarczysty, czy pioruny, czy morową zarazę. — Któż zgadnie? — Jednak Bóg pomoże. Wierzyli i Bóg pomógł. Odebrał ludziom cierpliwość.

BITWA POD GRUNWALDEM.

Polscy królowie walczyli z krzyżakami tylko wtenczas, gdy na nich krzyżacy napadali. Nie chcieli złego sąsiada wyrzucać z ziemi, którą zajął niesprawiedliwie, tylko bronili się, aby nie zabierał więcej. Król Władysław Łokietek pobił ich strasznie pod Płowcami; ale we dwa lata umarł, a niemieckie krzyżactwo podniosło głowę. Odetchnęli. Król Kazimierz Wielki zawarł z nim pokój.

W długim pokoju siły ich wzmogły się tak dalece, że znowu za Władysława Jagiełły rozpoczęli wojnę z Polską Jak wiadomo, Władysław Jagiełło był przedtem księciem litewskim, a przez ożenienie się z królową polską Jadwigą został królem polskim i z Polską połączył Litwę.

Właśnie upływało siedmdziesiąt sześć lat od czasu, kiedy krzyżaków Polacy pod Płowcami okropnie zgromili. Siedmdziesiąt sześć lat, to wiek długi na życie człowieka; mało jest ludzi dochodzących do tych lat, a zdarzenia takim przeciągiem czasu oddalone, giną z pamięci; ledwie się przypominają, chyba w książkach zapisane. Klęska pod Płowcami pamiętną była Niemcom, oni jej nie zapomnieli.

Mistrzem najstarszym krzyżackim wybrali zakonnicy Ulryka Jungingena, młodego i zapalonego rycerza. Nowy mistrz dumnie powtarzał towarzyszom: „Nie pożałujecie mego obioru; ja oddam Płowce Polakom, ja się zemszczę za naszych poprzedników!" Taka duma w zakonniku! Taka groźba przeciw Polakom, którym wydarli ziemię. Polacy ich na łaskawy chleb przyjęli, a oni przeciw dobrodziejom zbrojną rękę podnoszą. Niewdzięczne Niemcy!

Na Litwie był nieurodzaj, i głód szedł w jego ślady. Zużyto zboże stare, a nowego nie było za co kupić. Krajano mchy i mieszano z plewami; do mąki dodawano mieloną korę brzozową. Korzonkami się żywiono. Wszystkiego

było mało i to nie dawało posilnego pożywienia. Ludzie z głodu i z niezdrowego pokarmu puchli i umierali.

Przyszli posłowie z Litwy do króla w Krakowie i rzekli: „Ratuj nas, królu, bo wszystek naród wyginie!“ — Król zaś odpowiedział im: „Otworzę szpichlerze i każę natychmiast zboże wyprawić do Litwy.“

W ziemi kujawskiej miał król zasobne szpichlerze, ztamtąd przeznaczył zboże dla Litwinów. Zanim ich posłowie przejechali przez Polskę, by pocieszyć zgłodzonych braci, już było dwadzieścia statków wyładowanych zbożem w drodze do Litwy. Płynęły one po Wiśle, chleb wioząc zgłodniałym, a z chlebem zdrowie i życie dla tysiąca rodzin. Z Wisły wypłyną na morze i dostaną się do brzegów litewskich. — Wodą szybciej pomoc dojdzie, niż wozami, niż drogą lądową.

Uwiadomiono o dobroczynności królewskiej wielkiego mistrza krzyżackiego.

— Litwini dostaną chleba! mówiono.

A mistrz krzyżacki, zakonnik, który ślubował służyć Bogu, jak wilk zazgrzytał zębami.

— Nie puszczę zboża, gdy płynąć będzie przez ziemie pruskie.. Chleba Litwinom nie trzeba; niech giną z głodu, będzie więcej próżnej ziemi dla nas, Niemców.

Wnet też wydał rozkazy, by zabrać statki ze zbożem płynące po Wiśle dla Litwy.

Niemcy mieli własne szpichlerze, z nich sprzedawali zboże zgłodniałym Litwinom za ogromne pieniądze. Gdyby nie byli zatrzymali statków, byłoby ich zboże w Litwie potaniało. Teraz tem pewniejsze mieć będą zyski.

* * *

Stanęli przed wielkim mistrzem posłowie królewscy: arcybiskup Mikołaj Kurowski i trzej kasztelanowie.

— Słucham was, — mówił mistrz Ulryk — czego chcecie?

— Przyszliśmy w imię króla i narodu polskiego upomnieć się o krzywdę.

Tak począł arcybiskup rzecz wykładać a mistrz przerwał:

— O jaką krzywdę?

— Pozwól mistrzu! — rzecze arcybiskup — niech sprawę ważną opowiem dokładnie. Obchodzi ona i nas Polaków i was krzyżacy.

Nas nic nie obchodzi!

— Choćby i tak — mówi arcybiskup. — Posłuchaj.... Zabrałeś zboże wyprawione przez króla do zgłodniałej Litwy.

— Kazałem zabrać.

— Więc każ wydać.

— Że wy Polacy — odparł mistrz — jeszcze nas nie rozumiecie!.... Co Niemiec weźmie, tego nigdy nie oddaje. Zboże jest u nas, w naszym szpichlerzu, więc nasze.

— Twarda wasza mowa — rzekł arcybiskup — inaczej mówili do nas wasi przodkowie, byli pokorni i potrzebujący łaski. Myśmy im dali przytułek, daliśmy im kawał pięknej ziemi. Macie z czego żyć; wszak jesteście mnichami, bez rodzin.... czegoż wam więcej potrzeba?

— To nam wystarczyło niegdyś, dawno; teraz nas więcej i większe potrzeby. Musimy dużo mieć kraju, dużo pieniędzy; tu w Prusach musi powstać państwo niemieckie.

— Dopóki was było mało, siedzieliście spokojnie. Potem, gdy przodkowie twoi wzrośli w siły, rzucili się na Polaków, aż król Władysław Łokietek pod Płowcami wysiekł ich większą połowę. Po tej klęsce byliście znowu cicho, dopóki się was więcej nie nawlokło. I teraz nie podnoście hardej głowy, bo możecie doczekać się dnia płowieckiego!!

— Czekaj na dzień płowiecki.... My was co dzień biemy; wy niegdyś raz zdobyliście się na pobicie, i już od kilkudziesięciu lat chełpicie się zwycięstwem. Cóżeście nam zrobili? — ciągnął dalej, zapalając się Niemiec. — Pobił nas Łokietek, a my na miejscu siedzimy. Wołacie: „Krzyżacy zabrali nasze ziemie!" a my się nazywany panami pruskimi i nie myślimy wam oddawać tego, co wy swojem nazywacie. Wzięliśmy dwadzieścia statków zboża, a w skutek tego umrze z głodu więcej Litwinów, niż poległo pod Płowcami Niemców. Myśmy wasze wsie wyludnili, waszych

mieszczan wymordowali, po waszych zamkach mieszkamy... a wy nam grozicie? Jacyście wy śmieszni! Ha, ha, ha, ha! — zaśmiał się dziko. — Wracajcie do domu, uprawiajcie pola i zasiewajcie; my po wasze zboże przyjdziemy.

— Nie wiedzieliśmy — rzekł arcybiskup — o waszych zamiarach. Jeżeli się wybieracie po nasze zboże, musicie być bardzo odważni i silni.

— Bywajcie zdrowi, nie mam czasu dłużej z wami rozmawiać. Właśnie ludzie moi przywieźli łupy. Pójdę je oglądać. Pozabijali pod Ragnetą kupców litewskich i niosą dla mnie bogate podarunki.

To rzekłszy, opuścił mistrz salę, a pozostawieni posłowie polscy, w osłupieniu patrzeli po sobie.

— Czyto zwierz, czy człowiek? — szepnął arcybiskup. — Wyszli Posłowie, wrócą do domu i będą wzywać do wojny.

* * *

W roku 1410 w same żniwa, bo dnia 15 lipca, potykały się wojska polskie i litewskie z Niemcami. Gdyby orłem być i mieć oko orle, możnaby wzlecieć wysoko i rozpłynąć się w błękitach daleko od strzałów, a ztamtąd widzieć, jak stanęło wojsko polskie pod wsią Grunwaldem. Polacy na lewo, na prawo Litwini i Rusini, a we środku Czesi; w Grunwaldzie byli Niemcy. Po naszej stronie za szeregami nad jeziorem Lubieniem stał namiot króla Władysława Jagiełły.

Ponad głowami żołnierzy, jak płachty duże, kolorowe, rozwinięte na wiatr chorągwie, z różnymi znakami, różnego koloru. — Wojska stały naprzeciw siebie, jak dwie fale wodne rozdzielone, a potem na dany znak padły na siebie i spłynęły. Tysiące na tysiące. W powietrze kurzawa się podniosła i zaciemniła widok, choć i bez tego w mieszaninie ledwie można się rozpoznać. Słychać trąby i krzyki, albo raczej szum, jaki wydaje burza rozszalała po lasach. Szczęk broni. Któż pozna po dźwięku, czy uderzyła polska szabla, czy miecz niemiecki? — Słychać jęki, a nikt nie zgadnie, z której piersi wyszły.

To bitwa.

Siła Niemców przewaliła się na Litwinów, nie wytrzymali natarcia, uciekają. Niemcy już gniotą Czechów, ale znowu masy polskie Niemców przyparły.

Życie ludzkie nie tanie. Gdyby kto chciał kupić u ciebie życie, nie sprzedasz. Niema pieniędzy na ziemi do zapłacenia życia. — Tam w bitwie jak muchy padają ludzie. W każdej minucie kilkudziesięciu zabitych, w każdej godzinie setki, a przez cały dzień padło czterdzieści tysięcy Niemców. Zginął także wielki mistrz Ulryk Jungingen. Niemcy przegrali.

Nie pozostało z ich potęgi nic, tylko trupy i krew na pobojowiskach, opuszczony obóz ze skarbami i po lasach niedobitki. (C. d. n.)

Postronek.

(Z podań ludowych.)

Sieciech i Wojciech było dwóch braci—w młodości dwa te chłopaki, razem chodzili na rybki, razem na ptaszki i na ślizgawkę biegali razem.

Lecz kiedy byli na rybach i czasem co ułowili, Sieciech jako starszy dzieląc się z bratem wspólną ich pracą, zawsze miał taki zwyczaj, że sobie wybrał to węgorka, to szczupaczka, sędacza albo świnkę, a Wojciechowi młodszemu bratu piskorze, płotki i karaski zostawiał.

Tak się też działo z ptakami, jeśli gniazd nawykręcali, Sieciech zabierał sikory, szczygły i gile, a bratu oddawał, wróble, śmieciuchy. — Taki brat Sieciech miał zwyczaj, a więc dla tego, jak ich ojcowie pomarli, i cały swój dobytek im zostawili, Sieciech zaproponował, że im nie sposób, wspólnie pracować, ale się lepiej podzielić, i podzielił się z Wojciechem, lecz się podzielił według zwyczaju, to jest: najlepsze grunta, łąki, budowle, bydło i trzodę, zabrał dla siebie, a nieużytki, wydmy, w pół zawaloną chałupę, ślepego konia, chude krowiny, i parę prosiąt, przeznaczył bratu.

A gdy owi dwaj bracia wkrótce się pożenili, i gospo

darki się jęli, niedługo Sieciech tak się dorobił, że został panem Sieciechem, zaś Wojciech, który nie miał czem co radzić, próżno się starał, i w okolicy wszyscy mówili, gdy o nim wspomnieć przyszło: to ten ubogi Wojciech brat bogatego pana Sieciecha. — I tak było w istocie, że im pan Sieciech był bogatszym, to brat Wojciech biedniejszym, i w końcu tak Wojciech zbiedniał bardzo, że już bez wsparcia, siebie, żony i dzieci, wyżywić nie mógł. Lecz że ubogi Wojciech, co tydzień prawie, do pana Sieciecha po wsparcie chodził, co jemu zdało się za często, rzekł jednej niedzieli pan Sieciech, do brata swego Wojciecha:

Widać że nie ma dla ciebie szczęścia na świecie, bo przecież całym dobytkiem, tak się z tobą równo podzieliłęm, że gdyby miernik pola zmierzył, łokciaby więcej, ni mniej nie znalazł: — a tyś zubożał — wiesz co? kto niema szczęścia, cóż mu po życiu, cóż takie życie, narzekać, płakać, jak ty narzekasz i płaczesz, do śmierci wyciągać rękę i żebrać, jak ty wyciągasz żebrząc jałmużny — gdym to ja był na twojem miejscu, zakpiłbym z takiego życia i losu, niechże się to raz zakończy.

Ubogi Wojciech słuchał, serce mu biło, włosy na głowie powstały, a pan Sieciech po chwili milczenia powiedział.

„Wiesz co, pójdźmy na rynek, kupię ci jednę rzecz, z której wiem, że będziesz kontent.“

Poszli na rynek, nie mówiąc słowa do siebie, bo pan Sieciech, nie miał już co więcej mówić, a Wojciechowi, tak było jakoś, czy nie dobrze, niemiło, czy mu się słabo robiło, że nie mógł ust otworzyć — czuł tylko, że jego dusza i na ubóstwo i rady brata, słowem na wszystko, dosyć spokojna.

Przyszedłszy na rynek, pan Sieciech kazał bratu Wojciechowi, na podsieniu zaczekać, a sam poszedł kilka kroków dalej i do jednego kramu wstąpił — potem wyszedłszy na brata skinął, on za nim poszedł, i wyszli oba za miasto.

Za górką, stanął pan Sieciech, obejrzał się do koła, nie było tam nikogo, tylko z zagórki, wyglądał z pomiędzy dwóch topoli Krzyż święty.

Gdy go ujrzał pan Sieciech, spuścił oczy na ziemię, i

jakby się wstydził Krzyża, ledwie że je podźwignął, i do bra ta się ozwał, aby się jeszcze niżej spuścili.

Zszedłszy niżej za górkę stanęli, pan Sieciech znów się obejrzał, nie było tam nikogo, i krzyż za górką został, tylko wierzch dwóch topoli, co go osłaniał, w przeciwną wiewał stronę.

Tu rzekł pan Sieciech do brata swego Wojciecha:

„Wiesz? kupiłem, zrobiłem to dla ciebie, więc idź — tylko nie w moim lasku, pamiętaj — wszak tyle drzew jest w tym drugim, gdzie ten stary dąb skrzypi, on ma tyle gałęzi i sęków, tam ci będzie wygodnie.

Tak mówiąc pan Sieciech, prędko choć przerywanym głosem, wyjął z pod kapoty, dobry mocny postronek i oddając go bratu dodał: „No, idź, powieś się.“

Osłupiały, przelękły, kiedy taką radę brata usłyszał, na wpół obumarły, „od nagłej niespodziewanej śmierci,“ z cicha sobie zawołał, ale mu zęby szczękły i usta się zamknęły — jednakże wyciągniętą ręką podany mu postronek odebrał, a brat pan Sieciech mówiąc, no idź, spiesz się, — bądź zdrów, poszedł sobie do domu.

Wojciech szedł wolnym krokiem do lasu, serce w nim mocniej biło, nogi pod nim drżały — a kiedy pole minął ujrzał się w boru, w części do jego brata należącej, a iż tak osłabł, że już i dalej postąpić nie mógł, zemdlony pod jednem drzewem usiadł i spoczął.

Siedzi, spoczywa, myśli sam nie wie o czem, aż mu przyszła na myśl jego nędza.

„Mój Boże! mówił w duchu, zamiast przed Tobą, mamże dziś w piekle stanąć, za co? żem biedny, i ja dla biedy mam goreć w piekle, a Ciebie nie widzieć Panie, któryś świat stworzył i mnie na świecie, i któryś powiedzieć kazał, że biednych jest królestwo niebieskie? nie, odbierać życia, któreś dał Panie... o nie tego nie zrobię.“

I Wojciech słuchał głosu prawego sumienia swego, odrzuciwszy radę brata Sieciecha, z wyjaśnionem czołem, spokojną twarzą, po trudach i po zmartwieniu, otarłszy gorzką łzę, oparł na pniu głowę i zasnął.

Po nad śpiącym Wojciechem przeleciał gołąbek, jako śnieg biały, niosąc w dziobku palmę kwitnącą, i tą palmą kwitnącą uderzył Wojciecha w skronie, uderzył raz, drugi, trzeci i odleciał.

Wojciech otwiera powieki, żegna się i wstając wesół swobodny, czy też to prawda zawoła -- ach taki sen, jak na jawie, tyle pieniędzy, ja tak szczęśliwy, i moja żona i dzieci moje. — Tak mówiąc w duszy, Wojciech ubogi, postronek dar swego brata, u wierzchu gałęzi wiąże, a schwyciwszy go rękami, całym ciężarem swojego ciała nagina, aż drzewo skrzypi, aż korzeń pęka, skrzypi, trzeszczy, korzeń łamie, -- i złamane, zgruchotane drzewo na ziemię upada — a z pod drzewa, z po pod korzenia, widać żelazny kocioł.

Wojciech kocioł z ziemi dźwiga, ciężką przykrywę pod nosi, patrzy, aż pełny kocioł pieniędzy.

Uklęknął Wojciech, zmówił pacierze, i postanowiszy święcie, trzecią część znalezionego skarbu oddać dla biednych, pieniądze zabrał, i do domu powrócił.

Pan Sieciech, kiedy po udarowaniu brata postronkiem, do swego wrócił domu, taki był niespokojny, tak go coś truło, że sobie miejsca znaleść nie mógł, — chodził po izbie nierównym krokiem, stawał, w okno zaglądał, po szybie palcami brzęczał, aż to żona spostrzegła i o jego zmartwieniu się zapytała. —

Człowiek nieszczery, obłudny, co od maleńka wszystko skręcać przywyknął, dla najpierwszego, najlepszego przyjaciela, jakim jest żona i być powinna, nawet szczerym być nie może — i pan Sieciech nie powiedział prawdy żonie, powiedział tylko, że jak biegł prędko, jak się potknął, tak....... coś go zabolało.

Tkliwa żona o zdrowie swego męża, zakrzątnęła się niebawem — i, nie wyszło dziesięć minut, już ziółeczka, wódeczka, to powidełka, na żądanie gotowe stały —lecz gdy mąż do niczego nie miał gustu, a naglony, cierpki, smutnie odpowiadał, żona znając męża swego, nie przez żaden cud odgadła, że onego nic nie boli, tylko ma jakieś zmartwienie, i nuż badać i nuż prosić -- może ci łąkę wypaśli, może bydełko zajęli, zasiewy potratowali, gaik wycięli. —

Na wszystko milczał, lub mówił nie, na gaik się wzdrygnął, stanął, w okno spojrzał, palcem po szybie pisał, i nic nie mówił.

Ah! mężu, mężu, — przenikliwa niewiasta rzecze, możeś zgubił znak lub ślad, gdzieś zakopał w lesie pieniądze? —

„Pieniądze? — prawda — pobiegnę, przyniosę, albo zobaczę.“

I czyniąc zadosyć przeczuciu żony, aby się pozbyć badań kobiety, poszedł, pobiegł, poleciał, zwykłą do lasu drożyną.

Przy drożynie, w pośrodku dwóch topoli, stał Krzyż święty, — spojrzał na niego pan Sieciech, oczy na ziemię spuścił, i jakby się wstydził Krzyża,ledwie że je podźwignął, i mimowolnie pomyślił: on wie wszystko.

A iżby czarne myśli, z bolesnego wyzuć serca, podwoił kroku i niebawem stanął w lesie, a było to w owej chwili, kiedy Wojciech brat jego, tylko co pieniądze zabrał i już był w domu. —

Sieciech do owego przypada świerku, pod którym skarby zakopał, patrzy, wierzch świerku o ziemię wparty, korzenie powyrywane, pod korzeniami dół dość głęboki, lecz pusty — obok ni głębiej, nie masz kociołka z pieniędzmi.

Co za okropny żal, co to za rozpacz, ścisnęły Sieciecha serce, ah, nietylko jego serce, jego myśli, duszę jego, przeniknęła boleść sroga, — bo po stracie dobytku wyrzucało mu sumienie, dobitnemi w duszy słowy: na toś tyle głowy suszył, tyle krętarstw przez długi się czas dopuszczał byś za te podłe starania, już nic, ah nic nie posiadał? — i w tym ogromie zgryzoty, ujrzawszy na gałęzi uwiązny postronek, ten sam, który dla swego brata kupił, na swoją założył szyję, i, — powiesił się. —

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Tymczasem Maxencyusz w Rzymie oddawał się wszelkim rozkoszom, ale jednak bał się i był w niepewności, radził się wieszczów, którzy mu mówili to, co mu schlebiało t.j. że

wtenczas zwycięży, jeżeli pozostanie w stolicy i dopiero przed murami miasta na Konstantyna uderzy. Tymczasem kazał na Tybrze wybudować most okrętowy, który tak był zrobiony, iż łatwo mógł być zniszczony w intencyi, aby utopić Konstantyna, gdyby przez ten most do miasta wchodził. Konstantyn w Październiku 312 r. pokazał się z wojskiem swojem w okolicy Rzymu. Maxencyusz postawił wojsko swoje w bardzo dla siebie korzystnem miejscu między Tybrem a miastem, tak że rzeka napad Konstantyna uciążliwym uczyniła i że nawet w nieszczęśliwym dla wojska Maxencyusza wypadku wojsko jego mogło się łatwo cofnąć do miasta i wtenczas musiałby Konstantyn długo miasto oblegać. Ale olśniony pychą, która tak często poprzedza upadek możnych, Maxencyusz rozkazuje bez rozsądnego powodu, aby jego wojsko przekroczyło Tyber i aby tak się ustawiło, aby z tyłu miało rzekę i aby w razie ucieczki tylko most Milorius im pozostał do przejścia.

Tak rano 28go Października 312 r. oba wojska stały naprzeciwko siebie. Jeszcze Maxencyusz spokojnie bawił w cyrku, aby cieszyć się widowiskiem, którem chciał rozpocząć szósty rok swego panowania. Ale lud rozgniewany jego tchórzostwem, szemrał głośno i nagle wołał: Konstantyn jest niezwyciężonym! Wskutek tego Maxencyusz zaniepokoił się, zawstydził się i rozkazał, aby zajrzano do ksiąg Sibilijskich, w których stały te słowa, które podwójne miały znaczenie. "Dzisiaj upadnie nieprzyjaciel Rzymian".

Maxencyusz tłómaczył sobie te słowa na niekorzyść Konstantyna, zażądał swojej broni, wsiadł na konia, przejechał most i postawił się na czele swego wojska. Tak więc obydwa wojska stały pod dowództwem cesarzy. Konstantyn całą swoją ufność położył w jednym prawdziwym Bogu i w jego Synu Jezusie Chrystusie, który się mu pokazał. Maxencyusz ufność swoją pokładał w bożkach Rzymu. Było to położenie rzeczy, jakiego świat nigdy nie widział, stósunki teraz wskutek rozporządzenia Bożego taki kształt przybrały, iż stanowisko chrześciaństwa i pogaństwa zależało od wyniku bitwy. Z pewnością święty Papież Melchiades

modlił się ze swoimi w Rzymie gorąco, aby bitwa na korzyść kościoła była roztrzygniętą.

Teraz nieprzyjaźne sobie wojska uderzyły na siebie. Konstantyn kazał nieść Labarum naprzód. Siła i zręczność Gallów pomięszała szyki konnicy, która uciekając wpadła na piechotę. Największy opór stawiali Pretoryanie, którzy tworzyli gwardyą Maxencyusza, ale i oni musieli się cofnąć a teraz zamięszanie stało się powszechne. Uciekający żołnierze wpadali gromadami do Tybru a zwycięstwo Konstantyna było zapewnione. Gdy Maxencyusz widział, że bitwa na jego niekorzyść się roztrzyga, także dołączył się do uciekających, a uciekając przez most, który sam kazał zbudować, został z niego zrzuconym i utonął. Wyciągnięto martwe ciało Maxencyusza z wody, odcięto od ciała głowę i obnoszono ją po mieście. (C. d. n.)

Zdobycie Jerozolimy.

Konstantyn W. cesarz Rzymski (panował od roku 323 do roku 337) przyjąwszy wiarę Chrześciańską, wszelkich dokładał usiłowań, aby nowa jego religia, otoczoną była we wszystkich prowincyach państwa Rzymskiego, należytą czcią, poszanowaniem i świetnością. W tym celu wysłał do Jerozolimy patryarchę Makarego, dla odszukania grobu *Zbawiciela*. Starania patryarchy pomyślny uwieńczył skutek. Cesarz dowiedział się z radością, o wynalezieniu Grobu Pańskiego, i rozkazał natychmiast pokryć go kosztowną kopułą, a w bliskości wystawił kościół *Zmartwychwstania*, w którym nagromadził najwspanialsze arcydzieła i utwory sztuki. Ze swej strony, pobożna matka nawróconego cesarza, *Helena*, wybudowała w Betleem, miejscu urodzenia Chrystusa i na górze wniebowstąpienia, dwa inne kościoły.

Odtąd ziemia święta stała się celem pobożnych wędrówek. Tysiące chrześcian corocznie zbiegało się do Jerozolimy, ze wszystkich stron świata, dla uczczenia *Boga człowieka*, w miejscu Jego urodzenia, Męki i Zmartwychwstania.

Przez ciąg kilkuset lat, Chrześcianie osiedli w ziemi świętej, lub też przybywający w pielgrzymkach, używali w Jerozolimie niezakłóconej spokojności i wszelkiego bezpieczeństwa, lecz około roku 618 za panowania cesarza Konstantynopolitańskiego *Herakliusza*, Jerozolima zdobytą została przez *Kazroesa*, króla Perskiego. Trzydzieści sześć tysięcy chrześcian padło pod mieczem zwycięzcy; — grób Chrystusa zelżono. Herakliusz po wielu krwawych bitwach wyparł wreszcie barbarzyńców z Jerozolimy, i wówczas przeszedł boso po ulicach świętego grodu, niosąc na barkach krzyż, który własną ręką znowu osadził na szczycie *Kalwaryi*.

Jednakże spokojność nie długo trwała. Stokroć od Kozroesa straszliwy nieprzyjaciel *Mahomet*, ukazał się na wschodzie. Założyciel nowej religii, prześladował bez miłosierdzia Chrześcian, Żydów i całą podbił Arabią. Po jego śmierci (732 r.) jeden z jego następców *Omar*, wszedł do Jerozolimy, po czteromiesięcznem oblężeniu (737 r.)

Wszelako Omar, pomny na świętość miasta, obchodził się łagodnie z mieszkańcami, dozwolił Chrześcianom swobodnego wykonywania obrządków religijnych, zabronił jednak budowania nowych kościołów, używania dzwonów i odbywania procesyi. Zaledwie jednak ten kalif wyzionął ducha, na Chrześcian najstraszliwsze spadły prześladowania. Znosili wszystko cierpliwie, pewni że wybije wreszcie godzina swobody. Ciągłe pielgrzymki z Europy nie ustawały bynajmniej. Wędrowcy powracając do ojczyzny, rozpowiadali braciom swym o smutnych położeniach chrześcian jerozolimskich, o tym ucisku i prześladowaniu, o obelgach i bezprawiach, jakich się dopuszczali Mahometanie w murach świętego kościoła. Europa wrzała, czekając tylko sposobnej chwili do wyswobodzenia grobu świętego. Mijały jednak lata, — monarchowie Europejscy zajęci wewnętrznemi wojnami i ciągłemi niezgodami, nie mogli zebrać się nigdy, dla przyprowadzenia do skutku tego zamiaru.

Gdy jednak wieści o okrucieństwach i nadużyciach barbarzyńskich władzców ziemi świętej, coraz większe przy-

bierały rozmiary i przejmowały oburzeniem całą Europę, skromny zakonnik, ożywiony ogniem żywej wiary, postanowił skorzystać z tej sposobności i wyswobodzić Jerozolimę. Zwał się on *Piotr*, miał pochodzić z miasta *Amiens* we Francyi.

Zniechęcony do świata Piotr, osiadł w samotni, gdzie pędził pustelniczy żywot, w modlitwie, postach i rozmyślaniach. Wkrótce jednak uczuł się powołanym do wyższych przeznaczeń i przedewszystkiem postanowił odwiedzić grób Zbawiciela. Przybywszy do Jerozolimy, ze zgrozą i boleścią na każdym kroku widział dowody dzikości Turków i smutnego położenia Chrześcian. Odmówiwszy modlitwy u grobu, udał się do patryarchy jerozolimskiego Symeona z zapytaniem, jakimby sposobem można wybawić miejsca święte z pod ucisku Mahometan. Patryarcha odpowiedział mu, że jedynie połączone siły rycerstwa Europejskiego, mogą osiągnąć ten skutek.

Po kilku innych naradach, Symeon wręczył Piotrowi list do ojca świętego, w którym uprasza głowę kościoła, aby raczył wejrzeć litościwie na bolesne położenie Chrześcian znajdujących się na wschodzie, i aby powagą swą zachęcił monarchów i panów europejskich do przyjścia im w pomoc. Następnie Piotr udał się do kościoła *Zmartwychwstania*, błagać Boga o błogosławieństwo dla swych zamiarów. Zmęczony — zasnął i cudowne miał widzenie. Ukazał mu się Chrystus Pan i rzekł doń: ,,Bądź wytrwałym Piotrze! Spełniaj z odwagą rozpoczęte dzieło — Jam z tobą. Chwila oczyszczenia kościoła mego nadeszła, — a lud mój wybawion będzie.“ Piotr się ocknął—widzenie zniknęło. Pożegnawszy patryarchę, poszedł do Antyochii, a ztamtąd popłynął na okręcie do Włoch. Wylądowawszy u brzegów włoskich, bez straty czasu — pospieszył do Rzymu.

Na tronie papieskim zasiadał wówczas Urban II. Piotr padł do stóp jego, oddał mu list, po przeczytaniu którego Ojciec święty udzielił mu apostolskie błogosławieństwo, i upoważnił do ogłoszenia po całym świecie wyprawy, ku ratunkowi chrześcian wschodnich i wybawieniu grobu swiętego,

— z swej zaś strony przyrzekł zwołać niebawem ogromny zjazd panów duchownych i świeckich, dla naradzenia się w tym przedmiocie.

Piotr nie tracąc czasu wziął się do dzieła. Powierzchowność jego nie była obiecująca, — nędzny, wątły, niski, lecz siła wewnętrzna ożywiła go, — umysłu był żywego, wzrok miał przejmujący i bystry, wymowę posiadał gwałtowną, a zarazem przekonywającą. Siedząc na mule, okryty grubą odzieżą, boso, z gołą głową, w ręku trzymał ciężki krzyż i tak przejechał Włochy, przebył Alpy, rozpalając mieszkańców miast i wiosek do świętej wyprawy. Ztamtąd przybył do Francyi, a tysiące ludu zbiegało się w około niego, przyjmując go jako Boskiego zesłańca. Na głos jego ustawały niezgody i spory rodzinne, wróg podawał dłoń wrogowi, godzono się, bratano, wszystkie myśli zwracały się do jednego celu, — wyswobodzenia Jerozolimy.

Papież uwiadomiony o nadzwyczajnem powodzeniu Piotra pustelnika uznał, że nadeszła rzeczywiście sposobna chwila wykonania zamiaru. Zwołał więc wielką radę, czyli *Koncylium* do Placencyi (1095 roku). Niezliczone mnóstwo biskupów, kardynałów, księży i przeszło 80,000 ludu świeckiego zebrało się w Placencyi. Po krótkich naradach i umowach, wyznaczył Papież nowe zebranie w tymże samym roku, w mieście *Clermont* we Francyi. D. n.

Przyczyna samobójstwa. W kieszeni surduta samobójcy, u którego po sekcyi zwłok skonstatowano zboczenie umysłowe, znaleziono pismo następującej treści: „Ożeniłem się z wdową, mającą dorosłą córkę. Ojciec mój często nas odwiedzał, zakochał się w mojej pasierbicy i wkrótce z nią się ożenił. W ten sposób stał się mój własny ojciec, moim zięciem, moja pasierbica zaś jako żona mego ojca, stała się moją matką. Po upływie zaś pewnego czasu obdarzyła mnie żona moja synkiem, który całkiem naturalnie był szwagrem mego ojca, a moim wujem, bo był bratem mojej macochy. Żona mojego ojca tj. moja pasierbica, również powiła syna, który jako syn mojej córki był moim wnukiem a zarazem jako syn mego ojca, moim bratem. Żona moja jako matka mojej matki (z żony mego ojca), była moją babką, ja zaś byłem również mężem i wnukiem własnej mojej żony. Będąc zaś mężem mojej żony, która była moją babką; stałem się nieszczęśliwym, moim własnym dziadkiem. Rzeczywiście można zwaryować...